

Niespodziewany gość wigilijny, a nawet dwaj

● 92-letni Zbigniew Wrocławski opowiada o wieczorze sprzed 71 lat

Wspomnienie seniora

Paweł Patora (opr.)

p.patora@dziennik.lodz.pl

To był rok 1943. Dom jednorodzinny w Pionkach (dziś woj. mazowieckie). Zima, śnieg i mróz, wieczór wigilijny - rozpoczyna swoją opowieść Zbigniew Wrocławski.

Stół nakryty białym, krochmalonym obrusem, na nim krzyż, świeczka i na talerzyku opłatek. Tradycyjna zupa grzybowa z uszkami faszerowanymi własną kapustą swojego kiszenia, karp z chrzanem, chleb własnego wypieku, masło od zaprzyjaźnionej gospodyni, kompot z suszonych owoców i kruszonka do kompotu. Dodatkowe nakrycie dla ewentualnego wędrowca, a w rogu pokoju choinka z zapalonymi świeczkami.

Złożyliśmy sobie życzenia szybkiego końca wojny, dzieląc się opłatkiem i po wieczery, moja siostra Danusia siadła do pianina, by grać i śpiewać kolędy. Śpiewała pięknie, a my jej wtórowaliśmy. Szczególnie pięknie brzmiała w jej wykonaniu Cicha Noc. Ciepło, nastrojowo...

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Otwieram drzwi - przed wejściem stoi dwóch żołnierzy niemieckich. Młodzi chłopcy, może 18 - 19-letni. Wyglądali jak chucherka, w mundurach, furazerkach, nausznikach i bez broni. Nie przekroczyli progu, zdjęli czapki i stojąc w ganku powiedzieli, że usłyszeli Weinachtslied Stiehle Nacht, że są katolikami, są na zgrupowaniu w Pionkach,



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

► **Doc. dr inż. Zbigniew Wrocławski, absolwent Politechniki Łódzkiej, członek zwyczajny Akademii Inżynierskiej w Polsce, honorowy obywatel Pionek, przyjmuje „Złoty Dyplom” z rąk rektora PŁ**

że jutro ich oddział jedzie na front wschodni i chcieliby ten wieczór spędzić choćby krótko w rodzinnym gronie. Spytały, czy mogą wstąpić do nas.

Nie umiałem się znaleźć w tej sytuacji i milczałem. Tyśiące myśli przebiegało mi przez głowę. Mój ojciec, słysząc język niemiecki, zerwał się od stołu i przybiegł mi na pomoc. Nie znał niemieckiego, więc musiałem mu wszystko przedstawić. Jego reakcja mnie zaskoczyła: - Zawsze, a szczególnie w dzień wigilijny chrześcijanin nie może odmówić gościny, nawet wrogowi, jeśli nie przybywa w złych zamiarach.

Matka zabrała ze stołu pozostały jeszcze opłatek i uciekła

z Danusią do innego pokoju. Zostaliśmy we czterech: ojciec, ja i dwaj niemieccy żołnierze. Rozmowa nie kleiła się nie tylko ze względu na moją, zaledwie szkolną, niemiecką, ale ze względu na brak wspólnej płaszczyzny do rozmowy. Nawet religijnej. Nic nas nie łączyło, wszystko dzieliło.

Jeden z Niemców zapytał, czy może się do pianina. Cicho zagrał i zanucił po niemiecku ich kolędy. Był uczniem średniej szkoły muzycznej i chciał wstąpić do seminarium duchownego. Jednak przyszedł pobór dla jego rocznika i musiał wstąpić do wojska. Ten drugi nie śpiewał. Sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, a z niego

zdjęcia swej rodziny i zwiłgotniały mu oczy.

Ojciec polecił mi zrobić cztery herbaty, przynieść sztuczce i talerzyki, chleb, masło, karpia w galarecie i cztery filiżanki zupy grzybowej, co bez entuzjazmu zrobiłem. Jedliśmy prawie w milczeniu, żołnierze zanucili wspólnie jakąś ich kolędę. Trochę się ociepliło, ale lody nie przysły. Ojciec podał im rękę na pożegnanie. Ja nie mogłem się zmusić się do tego gestu. Gdy poszli, powiedział mi, że w naszej kulturze nie ma odpowiedzialności zbiorowej.

To wspomnienie co rok do mnie wraca, coraz mniej jest przykre i coraz bardziej zaczynam rozumieć mojego ojca. ●